

Zasługuje na szacunek wierność Narodowej Sceny teatrowi Stanisława Wyspiańskiego. Każdy sezon przynosi potwierdzenie tego nieprzypadkowego związku z najwybitniejszym polskim dramaturgiem i wizjonerem teatralnym. Najnowsza premiera „Akropolis” jest tego związku kolejnym przejawem.

Już sam zamiar wystawienia tego dramatu był decyzją tyleż odważną, co ambitną. Mimo bowiem teoretycznej sławy dzieła – potwierdzonej rozprawami naukowymi, a także głębokim przekonaniem Wyspiańskiego, że stworzył utwór niezwykły, bodaj czy jego nie najlepszy – teatralny żywot sztuki nie zachęcał do mierzenia się z „Akropolis”. Ten dalszy ciąg „Wyzwolenia”, kolejna wielka rozprawa z mitami, archetypami kultury lokalnej i uniwersalnej, a zarazem konfrontacja rzeczywistości z wzorcami przeszłości, dramat gęsty od znaczeń, przypomina trudną do rozwiązania szaradę. Z tych to powodów Józef Kotarbiński nie zdecydował się na początku XX wieku dać prapremiery dramatu, narażając się na straszliwy gniew poety.

Może jednak nie ze wszystkim Kotarbiński błędził. Potwierdza to poniekąd Ryszard Peryt, inscenizator „Akropolis” w Narodowym, który nieco podszkutował dramat „Wyzwoleniem”, wprowadzając na scenę dwie nie egzystujące w oryginale – a na scenie kluczowe – postaci Konrada i Aktora, a także tnąc bezlitośnie tekst, osobliwie aktu IV, który niepostrzeżenie wyknął się autorowi spod kontroli i najwyraźniej przerósł w rapsod – na scenie niemal niewystawialny.

Dzięki reinterpretacji dramat ten stał się ciągiem dalszym „Wy-

TEATR

TOMASZ MIŁKOWSKI

Konrad nie schodzi ze sceny



Fot. Damian Ruciński

Krzysztof Kolberger i Sylwia Nowiczewska

zwolenia”, dopełnieniem wielkiego dyskursu i wielkiego niepokoju o losy Polski, świata i człowieka. W tym sensie ma rację Peryt, kiedy mówi, że „Akropolis” to „Dziady” Wyspiańskiego.

Na scenie wygląda to chwilami imponująco i potężnie. Skrótowno i sugestywnie odtworzona przez Ewę Starowieyską architektura katedry wawelskiej, gobeliny, witraże, monumentalne schody, gra światła, kadzideł, grzmoty, a wreszcie przepiękny „Exodus” Wojciecha Kilara – to tylko przykłady rozwiązań scenicznych, które zapadają w pamięć. Do tego dodajmy wysmienitą grę prowadzących aktorów: Ignacego Gogolewskiego (wstrząsający w finałowej scenie śmierci, za każdym razem inny w kolejnych wcieleniach Aktora, Priama i Jakuba, jako człowiek sztuki, ro-

zum wcielony i patriarchalna mądrość przywódcy), Krzysztofa Kolbergera (niemal przeestetyzowany Parys i płonący odwetem Ezaw), Mariusza Bonaszewskiego, Teresy Budzisz-Krzyżanowskiej i Doroty Landowskiej. To dość powodów, aby spotkać się z tym przedziwnym Wyspiańskim. Przedziwnym, ponieważ mimo trafności poszczególnych rozwiązań i ról, powstałe widowisko odrzuca widza hermetycznością, nie wzbudza koniecznego dreszczu emocji, choć budzi niepokój swoją tajemniczością. Zasada ożywienia postaci ze świata sztuki, obecnych w katedrze, uciłowienie rzeźb i postaci z tkanin to jest czytelne i nie rodzi wątpliwości. Te powstają później.

Dramat w inscenizacji Peryta rozpada się na segmenty, których

nie scala jednocząca myśl, a niejasna wymowa śmierci Aktora, śniącego swój ostatni sen o zmarłych wstaniu, stawia podwójny znak zapytania. Nie tyle, co miałowicie chciał reżyser w ten sposób osiągnąć, bo odpowiedzi może być bardzo wiele, ile czy Konrad może kogokolwiek dzisiaj za sobą pociągnąć. Czy nie mamy do czynienia z pięknym, ale całkowicie już wystudzonym reliktem przeszłości? Zamiast „zwyckich skier, co płoną pod stopami” Ryszard Peryt zaśpiewał pieśń o popiołach...

Stanisław Wyspiański, „Akropolis”, opr. tekstu i reż. Ryszard Peryt, scen. Ewa Starowieyska, muz. Wojciech Kilar, choreogr. Emil Wesolowski, światło Mirosław Poznański, efekty pirotechniczne Krzysztof Trzaskowski, Teatr Narodowy, premiera 28 kwietnia 2001 r.